



You have downloaded a document from
RE-BUŚ
repository of the University of Silesia in Katowice

Title: Marie

Author: Sophie Mereau-Brentano ; Nina Nowara-Matusik (tłum.)

Citation style: Mereau-Brentano Sophie ; Nowara-Matusik Nina (tłum.). (2020). Marie. W: R. Dampc-Jarosz i N. Nowara-Matusik (red.), "Sophie Mereau-Brentano : "dyletantka" na weimarskim parnasia" (S. 276-311). Katowice : Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego.



Uznanie autorstwa - Na tych samych warunkach - Licencja ta pozwala na kopiowanie, zmienianie, rozprowadzanie, przedstawianie i wykonywanie utworu tak długo, jak tylko na utwory zależne będzie udzielana taka sama licencja.

*Marie*¹

Anton Renard opanował rzadko spotykaną sztukę gry na kilku instrumentach i zdobył sławę w wielu miejscach Niemiec. Stawiał światu wiele wymagań, wierzył bowiem, że jego talenty dają mu do tego prawo. Lecz miast tego prześladował go zły los, który odsyłał go z kwitkiem i obracał wniwecz najpiękniejsze marzenia. Wraz z młodością odeszła odwaga, by z walki z losem wychodzić zwycięsko. Jedynym jego celem stał się spokój. Z tym, co zostało mu po niewielkim majątku, schronił się w cieniu pewnej wioski, gdzie utrzymanie i zajęcie zapewniało mu małe gospodarstwo. Wkrótce nabrał przekonania, że było to życie stworzone wprost dla niego. Nie znał innych zmartwień, prócz trosk dnia codziennego, żadnej innej zmiany, jeno zmianę pór roku, której doświadczał wraz z całą przyrodą, żadnej innej radości, jak tylko radość z owoców pracy własnych rąk.

Instrumenty odstawił w ciemny kąt i spoglądał na nie rzadko, uśmiechając się przy tym ze smutkiem i traktując je jako pamiątki po swoich dawnych marzeniach oraz wielkich oczekiwaniach. Listy otrzymane od kilku znajomych jeszcze w dawnych czasach pozostawił bez odpowiedzi, i, poza

¹ Podstawą tłumaczenia jest wydanie dostępne na stronie: <https://www.projekt-gutenberg.org/brentans/marie/marie.html> [dostęp: 17.12.2020].

kilkoma ulubionymi książkami, nie oddawał się żadnej nowej lekturze. „Na co komu czytanie?“, zwykł mawiać do sąsiada i przyjaciela, miejscowego kaznodziei, jedynej osoby wyższego stanu, z którą się zadawał. „Zaledwie jedno doświadczenie, jakie stać się może udziałem człowieka, waży więcej niż wiele zadrukowanych tomów; odnoszę też wrażenie, że uczucie, które zostało opisane, jest niczym ogień, który wymalowano na obrazie. To przedziwna właściwość naszych czasów: jakże łatwo powierzamy nasze uczucia rozumowi i, zapisując je, oddzielamy niejako od naszego jestestwa, by ponownie rozkoszować się nimi na papierze niczym wytworami obcej osoby. A przecież to pewne, że ciepło, które uskrzydla nas w prawdziwym, aktywnym życiu i uskrzydlać winno, bardzo na tym cierpi i że własnoręcznie pozbawiając nasze serce potrzebnej mu stawy sycimy nią, ową obcą im formą, nasz rozum albo nasze ego“. I stało się tak, że na własne życzenie odwrócił się od całego świata. Żył chwilą i jeno troska o jedyne dziecko kierowała czasem jego trwożną i przelotną myśl w stronę świata i ku przyszłości. Jego córka, Marie, rozkwitała słodko w cieniu samotności. Jedynym pragnieniem ojca było, aby utrzymać w równowadze jej ciało i ducha, nauczyć podejmowania chłodnych, zdecydowanych i roztropnych decyzji we wszelkich możliwych życiowych okolicznościach, usposobić do aktywnego, lecz prostego życia i, na tyle, na ile to możliwe, uchować na wieki z dala od oszukańczych sztuczek, fantazji i uczuć.

Gdy Marie zaczęła dorastać, schował nawet jeszcze głębiej swoje instrumenty (wciąż jeszcze je przechowywał, niczym odtrącony kochanek podobiznę ukochanej), nie chciał bowiem, aby obudziły pragnienia, drzemiące być może na dnie jej serca. „Talenty“ – mawiał – „występują wobec świata z roszczeniami, te zaś prawie zawsze ściągają na człowieka nieszczęście“. Tymczasem nie spostrzegł – on, którego zbyt gwałtowne uczucia sprawiły, że stał się nieufny wobec uczuć drugich osób i który za nic miał doświadczenia innych ludzi, gdyż zbyt wiele kosztowały go jego własne przeżycia –, że uczył Marie myśleć, udowadniając jej, iż myślenie jest

szkodliwe i że ona sama uczyła się czuć, gdy z uczuciem ostrzegął ją przed niebezpieczeństwami, jakie czyhały na ludzi o wrażliwym sercu.

Jednak szczęśliwie złożyło się tak, że zewnętrzne okoliczności zrobiły za niego to, czemu sam chyba nie sprostał. Świeże powietrze, ruch, piękno przyrody oraz spokój wokół i we wnętrzu Marie edukowały ją i wychowywały na pogodną i harmonijną istotę. Jej życie było przejrzystym strumieniem, w którym przeglądały się, szeleszcząc niczym pokryte pąkami gałęzie, subtelne przecucia młodości. Drzewa, kwiaty, ptaki i przestworza były towarzyszami jej radości, zastępując lekturę, lekcję, bywanie w towarzystwie. Jej fantazja, rozbudzona przez samotność i przyrodę, osnuwała rzeczywistość, delikatnie trzepocząc skrzydłami. Przepelniona młodzieńczą radością, z typową dla siebie łagodnością, Marie starała się ową rzeczywistość jeszcze bardziej upiększyć i było rzeczą naturalną, iż dzięki owym staraniom nawet najbardziej błaha rzecz, jaka znalazła się w jej pobliżu, zyskiwała oblicze radosne i idylliczne. A jednak zdarzały się też takie chwile, gdy nie czuła się w pełni szczęśliwa. Marie otrzymała w darze od natury ową uczuciową wrażliwość, która ochoczo i z lekkością wznosi się na wyższy poziom edukacji; żaden zbieg korzystnych okoliczności nie sprawił jednak, iż ów pąk mógł się rozwinąć. Była to jedyna boleść, jaka trapiła ją chwilami i której źródła nie знаła. Spacerując samotnie, spoglądała w dal, tam, gdzie błękitne obłoki zamykały jej dostęp do świata; często zdawało jej się wtedy, iż przywołuje ją stamtąd tajemniczy głos. Niczym dźwięki dalekiej muzyki, przed oczyma jej duszy przeciągał barwny korowód życia i serca, a mroczne przeświadczenie, że uczucia, które dotąd wciąż jeszcze nieporadnie zamykała w sobie w jednym kawałku, mogą przybrać nieoczekiwane formy i kształty, do głębi wstrząsało jej jestestwem.

Gdy Marie ukończyła siedemnaście lat, wszyscy mieszkańcy wioski uznali zgodnie, iż ze wszystkich urodziwych dziewcząt z okolicy to ona jest najpiękniejsza i to do niej powinien należeć świat. Pewnego letniego wieczoru, gdy

Marie wraz z ojcem spacerowali pośród falujących łąnów zbóż, rozkoszując się zapłątą za swój trud, jakim był miły dla oka widok dojrzewających plonów, i gdy pełni pogody ducha wypatrywali już spoczynku, ich uwagę przykuło pełne strachu wołanie, po którym wkrótce potem przez pole przegalopowały dwa spłoszone konie, ciągnące za sobą przednią część powozu. Marie i jej ojciec w te pędy ruszyli do miejsca, z którego przybiegły konie, dostrzegając niebawem obok rozbitego wozu młodego mężczyznę, który w trwodze zajmował się młodą kobietą. Przepelnieni współczuciem Marie wraz z ojcem podeszli bliżej, oferując litościwie pomoc, która z radością została przyjęta.

Dama, która mocno zraniła się w ramię, gdy wóz się przewrócił, odniosła też kilka lekkich ran na głowie i zdawała się bardzo cierpieć. Tak delikatnie, jak to tylko było możliwe, przeniesiono ją do domu Antona, gdzie zalecone przez niego lecznicze okłady oraz troskliwa opieka Marie wkrótce uśmierzyły jej ból. Antonie von Lauben, gdyż tak nazywała się obca kobieta, jechała z miasta do oddalonej dosyć daleko wiejskiej posiadłości, zamieszkiwanej przez znajomą rodzinę. Najchętniej najszybciej, jak tylko to byłoby możliwe, kontynuowałyby podróż, lecz wozu nie dało się tak prędko zreperować, ponadto jej sługa odniósł jeszcze poważniejsze rany niż ona; nie pozostało jej zatem nic innego, jak tylko pozostać jeszcze kilka dni u przyjaznych gospodarzy.

W jej powierzchowności, ubiorze i obyciu ujawniały się wszystkie powaby wyższych sfer. Urodziwa, wysoka sylwetka, gładkie lico i swoboda połączona z wykształceniem czyniły ją nieomal nieodpartą. Jej zjawiskowość spowodowała, że Marie przestała być sobą: nie mogła się na Antonie napatrzeć, a jej postać, ton głosu, zachowanie wypełniły ją nieznanymi dotąd obrazami; była pierwszą wyedukowaną istotą, jaką spotkała, i niewątpliwie zarazem najdoskonalszą, jaką tylko mogła sobie wyobrazić. Antonie okazywała Marie uderzającą łaskawość; jej niedoświadczenie, otwartość i pragnienia opromieniały walory Antonie przyjaznym blaskiem, zaś przyjemne poczucie wyższości

miało nie mniejszy wpływ na to, że zajmowała się Marie z prawdziwą serdecznością. Marie nie odrywała od niej wzroku, a wiedza, jaką Antonie ujawniała w rozmowie, opowieści o świecie, którymi ją raczyła, pewność, z jaką mówiła o tak wielu rzeczach, o których Marie nie ośmielała się nawet otrzeć myślą – to wszystko zdawało jej się tak nieosiągalne, a zarazem takie proste!

Tymczasem zgoła inne doznania i uczucia poczęły trapić serce starego Renarda. Po dłuższym czasie spędzonym w towarzystwie gości poznał nieco życie młodego mężczyzny: ów przedstawił się mu jako młody wirtuoz, dobry znajomy młodej damy, podróżujący z nią po części dla jej bezpieczeństwa, po części zaś po to, aby swoją sztuką zapewnić rozrywkę szlacheckiej rodzinie, do której zmierzali. Brandem, gdyż tak się nazywał, miał twarz o ostro zarysowanych rysach, która przykuwała uwagę; był bardziej interesujący niż pociągający, bardziej ciągnęło ku niemu serce niż fantazja. W jego nieco mrocznym spojrzeniu odbijały się zarówno wrażliwość artysty, jak i duma z tego, że nim jest, w rozmowie zaś przejawiał na zmianę to entuzjazm, to przejmujący chłód, to zaś zależało od tego, jaką poruszyło się w nim strunę – przeplatając się ze sobą, były one zresztą ukryte niezbyt głęboko w jego piersi. Osoby tego pokroju robią większe wrażenie na tych, co znają się na ludziach, niż na młodych i niestałych sercach, które nade wszystko cenią piękno ułudy; ich wtajemniczenie w godniejsze zajęcia może nastąpić dopiero za sprawą gry. Brandem nie wzbudził najmniejszego zainteresowania Marie, podczas gdy ona napinała jego uwagę do granic możliwości. Jej młodość, wdzięk, zupełny brak skrupowania przepełniały go zachwytem niczym widok cudownego, idealnie nastrojonego instrumentu, który daje artyście nadzieję, że dzięki niemu usłyszy ponownie, lecz w upiększonej postaci, najśłodsze, harmonijne dźwięki swojej własnej duszy.

Anton czuł, że jego serce, od dawna już zamknięte na wszelkie obce wpływy, w cudowny sposób otwarło się i napełniło ciepłem. Wspomnienie własnej młodości, jej wszystkie radosne nadzieje i oczekiwania, napłynęły ku

niemu niczym gromada różanych obłoków, z rozkoszną przemocą przyciągając go do serca młodego artysty. W mgnieniu oka znaleźli wspólne tematy i pokrewne idee, a prąd sympatii popłynął swobodnie przez otwarte serca. Antonowi, który do tej pory tak uparcie – być może z braku okazji – pielęgnował w sobie nieufność, zdawało się, że w mrocznym i przenikliwym spojrzeniu oraz w poważnej i stanowczej postawie swego młodego gościa znajduje wystarczające usprawiedliwienie dla swojej otwartości. Dlatego, gdy ten po wypadku nad niczym tak nie rozpaczął, jak nad utratą pięknej violi d'amour, która pękła, gdy wóz się przewrócił, nie mógł oprzeć się wzbierającej w sercu radości i, pozbywszy się ostatnich wątpliwości, podszedł do tajemniczej skrzyni i wyciągnął ze swego ukrytego skarbcza podobny instrument. Brandem wpadł w zachwyt i zagrał piękniej niż kiedykolwiek, tak dobrze, że omal sam nie zaczął bić sobie braw; była to rzecz rzadko spotykana i zarazem najśodsza, jaka mogła mu się przytrafić. Gdy skończył, zapytał Antonie, czy nie zechciałaby zaśpiewać z nim w duecie. Antonie zgodziła się, po czym obydwójce zaśpiewali pięknymi i giętkimi głosami o czystym i przyjemnym brzmieniu kilka duetów Mozarta oraz innych wybornych mistrzów. Marie przeniosła się do innego świata. Owe harmonijne dźwięki, które usłyszała po raz pierwszy w życiu, przeszły jej duszę dreszczem, poruszając w niej cudowne, nieznanne dotąd struny, zaś pierwsze promienie sztuki z rozkoszną przemocą obudziły drzemiący w niej pęd ku nauce. Nigdy wcześniej nie była tak niespokojna i tak szczęśliwa jak w tej chwili. Nawet postać Antonie z całym jej wdziękiem, który tak podziwiała, zesłała na dalszy plan, gdy pozwoliła się porwać temu wszechogarniającemu upojeniu nowymi, przejmującymi uczuciami i doznaniem.

Tymczasem nic nie stało już na przeszkodzie, aby Antonie mogła kontynuować podróż. Wypłakując morze łez, Marie musiała pożegnać się z nową znajomą. Ta zaś postanowiła odplacić za okazane jej dobro nagrodą, jaka wydawała jej się najlepszą z możliwych: z wrodzonym sobie wdziękiem

uprosiła starego Renarda, aby na jakiś czas oddał jej córkę pod opiekę, gdy tylko wróci do miasta. Anton obiecał spełnić jej prośbę, gdyż nie lubił składać niepotrzebnych wyjaśnień, nie miał jednak zamiaru dotrzymać obietnicy.

Młody artysta pożegnał się z nim czule i znacząco, Marie zaś wyznał swoje uczucia, obdarzając ją kilkoma głębokimi spojrzzeniami, których sensu nie pojmowała. Po tym rozstaniu Marie znalazła się w przedziwnym stanie ducha. Miała tak wiele zajęć, a czuła się tak bardzo pusta. Wszystko wokół niej było pieśnią i melodią, lecz dźwięki, dyktowane nastrojem jej serca, przenikały przyrodę melancholią. Obraz wielkiego świata cudownie zlał się w jej wyobraźni ze słyszaną muzyką, tworząc z nią jedność. Podczas samotnych spacerów po bukowym lasku i pośród zbóż jej zmysł twórczy nie wznosił się już łagodnie do lotu nad monotonnymi krajobrazami teraźniejszości, lecz ulatywał niepowstrzymanie w dal, niczym ptak, co wyrwał się z klatki, by z niegasnącym wigorem szukać pokarmu, który zdawał się wskazywać mu instynkt. To, czym zajmowała się do tej pory, nie sprawiało już jej radości. Mogła wówczas łatwo poddać się niechęci, a ta zaś może zabarwiłaby mrokiem jej przyszłe życie, gdyby nie zatroszczyła się o nią nadzieja, łaskawa towarzyszka młodości, i nie naszkicowała we mgle jej przyszłych losów sylwetek radosnych postaci. Najśłodsze było jej jednak czekanie na to, że ojciec zechce w końcu ulec żądaniu Antonie i zgodzi się na podróż. Lecz bliżej była sposobność jeszcze inna, którą zamierzała wykorzystać przy najbliższej nadarzającej się okazji. Przynosząc swemu młodemu przyjacielowi instrument, ogarnięty radosnym zamętem serca Anton nie pomyślał bowiem o tym, aby tak starannie, jak czynił to do tej pory, ukryć swoje tajemne skarby przed oczami córki. Marie widziała wszystko i wszystko sobie dobrze zapamiętała, i w jakiś czas potem, gdy ojciec nie udzielił jej zadowalających wyjaśnień, postanowiła, że sama wejdzie w posiadanie jego tajemnicy. Wykorzystała ku temu pierwszy dzień, kiedy Anton musiał oddać się z domu ze względu na interesy. Jej plan powiódł się i z odnalezioną w skrzyni lutnią ukryła się w pobliskiej

gęstwinie, w nadziei na poznanie nieznanych jej dotąd, boskich rozkoszy.

Wyszukała sobie jedno z najbardziej romantycznych i ustronnych miejsc, jakie znajdowały się w okolicy. Na wysokim i nieco stromym brzegu rwącej i krystalicznej rzeki rozpościerał się łagodnie niewielki, porośnięty mchem pagórek, otoczony kilkoma cienistymi drzewami, które ukrywały go przed wzrokiem ciekawskich i przed promieniami słońca. Gęste zarośla otaczały z jednej strony rwącą rzekę, z drugiej zaś otwarta przestrzeń dawała wyobraźni szerokie pole do najśmielszych popisów. Rzeka płynęła bystro w stronę brzegu, jak gdyby było jej śpieszno, by wpaść w ramiona kochanka, lecz szorstkie i nieczułe skały odpychały ją od siebie; cicho szemrząc w gniewie, opływała więc je bokiem. Tutaj właśnie ukryła się Marie, a jej palce po raz pierwszy poczęły błędzić po strunach, podejmując nieśmiało próby naśladowania owych słodkich dźwięków, które wciąż jeszcze dobrze pamiętała. Po kilku próbach udało się jej wydobyć z lutni dźwięki podobne, lecz dalekie od ideału, by zaraz potem dołączyć do nich niepewne jeszcze brzmienie własnego, giętkiego głosu. Cóż to za rozkosz, jakaż nieopisana radość kryła się w tych chwilach! Przebudzony talent, po raz pierwszy poddany ćwiczeniom, przeczynał, wstrząsany słodkim dreszczem, swe własne istnienie; dziecięcy brak doświadczenia skrywał przed nim granice sztuki, by odważnym krokiem wstąpić na ścieżkę wiodącą ku nieskończoności! Marie była odtąd szczęśliwsza, lecz nie radowała się już tak jak kiedyś. Wokół niej rozkwitał nowy świat, lecz był on pełen wspomnień, tęsknoty, pragnienia i melancholii.

Odtąd wszystkie godziny, jakie spędzała w samotności, poświęcała próbom, te zaś w magiczny sposób coraz częściej prznosiły ją do krainy wrózek, w których panowały harmonia i uczucia, aż w końcu, gdy jej postępy były już znaczne, nie mogła już więcej samotnie rozkoszować się swoim szczęściem. Postanowiła wyznać ojcu swoją winę i podzielić się z nim radością. Gdy pewnego pięknego, jesiennego wieczoru Anton odpoczywał po pracy w otoczonej jeszcze

gęsto bukowym listowiem ogrodowej altanie, Marie stanęła nieopodal. Drżącymi rękami i słodkim, lecz trzęsącym się głosem zaczęła grać i śpiewać melodię, którą najlepiej opłnowała. Zaskoczenie Antona nie dało się wyrazić słowami. Pospieszył więc, aby na własne oczy przekonać się, czy jego słuch go nie zwodzi. Gdy zobaczył spoglądającą na niego nieśmiało, lecz w łagodnym upojeniu, pokrytą delikatnym pąsem Marie, w jej ręku zaś lutnię, poczęły nim targać przedziwne pragnienia. Pragnął okazać gniew – lecz jakże mógł nie udobruchać go, jakże nie mógł nie zachwycić widok jego jedyne go, ukochanego dziecka, z którego słodkich ust prosto do jego serca płynęły dźwięki, przywołując owego serca najpiękniejsze wspomnienia? Nie! Było to daremne! Nieodparty czar harmonii i wspomnień roztrzaskał otaczającą jego serce skorupę. Jej talent był bezsporny: jakże mógłby zabronić swobodnie się rozwijać się temu boskiemu pierwiastkowi, który oddawał się pod jego opiekę?

Od tej pory sam uczył Marie, jak sprawić, aby jej naturalny i harmonijny głos rozbrzmiewał w czystszych dźwiękach, i jak jej melodie mogły uczynić zadość żądaniom sztuki. Z jaką lekkością, z jaką pasją Marie wkroczyła na wskazaną jej drogę! Jakże słodko i szybko upływały odtąd jej ojcu godziny poza pracą, przeznaczone na odpoczynek! W jak drogiej postaci objawiła mu się w jego ukochanym dziecku na nowo jego własna młodość z jej przecuciami! Zza gęstych chmur jego życia wyjrzało przyjazne słońce, obsypując niebiańskimi barwami wieczorne niebo jego dni. To, przed czym do tej pory tak bardzo uciekał, stało się mu źródłem najwspanialszych rozkoszy.

I tak prawie minęła zima i Marie myślała już, że musi wyzbyć się z serca nadziei na podróż do Antonie, gdy pewnego ranka, kiedy w samotności powtarzała lekcję zadaną jej przez ojca, do domu wkroczył Brandem. Myśl, jaką to wiadomość zapowiadać mógłby jego widok, przeszła jej serce niczym strzałą, oblewając ją żarem radosnego przerażenia. Brandem nie widział jej jeszcze tak ponętnej. Ze zdziwieniem spostrzegł lutnię w jej rękach i po chwili rozmowy poprosił ją o próbkę jej kunsztu. Uczyniła mu zadość z bezpretensjo-

nalną grzecznością i Brandem poczuł, jak decyzja, z którą przybył, z każdą chwilą nabierała życia i mocy.

Wkrótce dołączył do nich Anton, ciesząc się z miłej wizyty, co do celu której Marie zresztą się nie myliła. Młody artysta rzeczywiście otrzymał od Antonie – której przypominał o Marie na wielorakie sposoby – polecenie odwiezienia Marie do miasta. Grzeczny list Antonie do Antona przypominał mu o danej zgodzie. Anton uśmiechnął się, gdy go przeczytał i nie zwlekając, gdyż Marie właśnie oddaliła się, by spełnić domowe obowiązki, wyjaśnił Brandemowi swoją wielką niechęć wobec tej propozycji oraz decyzję, aby trzymać córkę z dala od zgiełku świata i przyzwyczajając do cichego, prostego i skromnego życia. Wzrok Brandema rozjaśnił się; z widocznym wzruszeniem powiedział: „Nie mam nic, łaskawy panie, co może dodać moim słowom wiarygodności i powagi, jak tylko wiarę w siebie i ufność, że zna się pan na ludziach. Lecz obydwie są tak silne, iż głęboko wierzę, że już teraz traktuje mnie pan jak człowieka, który po czteroletniej znajomości jest taki sam, jaki był w chwili poznania. Pańska córka wywarła na mnie wrażenie tak głębokie, że nie mogę przestać o niej myśleć. Naturalna dobroć Marie, jej chwalebna nieskalaność idą w parze z wielkim wdziękiem i powabem – tak zjawiskowej istoty nie ośmieliłem się nawet szukać w świecie – i, jestem tego pewien, poza nią innej z pewnością nie znajduję. Pański plan byłby bez zarzutu, gdyby Marie mogła po wieczność żyć w samotności, z dala od wszelkiego kontaktu ze światem, a mimo to jej wola czynu i talenty mogłyby rozwijać się i kształcić tak, jak tego wymagają. Czy jednak jest to możliwe i jak może pan, patrząc na to z drugiej strony, zagwarantować, że niekorzystne zewnętrzne okoliczności nie wypchną kiedyś pańskiego dziecka w świat, podczas gdy ono nie będzie do tego przygotowane? Niech pan teraz skorzysta z okazji, aby Marie nawiązała stosunki z ludźmi różnorakiego pokroju i powierzy mi jej los. Będę czuwał nad nią niczym anioł stróż i trwał przy niej z czułą miłością. Nie mam w sobie na tyle próżności, by wierzyć, że ona odwzajemnia moje uczucia i żywię ledwie płonną nadzieję

na jej miłość, która uczyniłaby mnie najszczęśliwszym. Byłoby niesprawiedliwe i okrutne, gdyby swobodny rozwój tego pięknego umysłu miał trafić na jakieś granice. Niechaj wszystkie jej uczucia rozkwitają w pełnej swobodzie, a cudowny kwiat jej beztroskiego, fantazyjnego ducha nigdy nie przekwitnie pod ciężarem obcego rozumu! Jej wrażliwy zmysł nie pozwoli jej nigdy zejść z drogi prawdziwej cnoty, a jeśliby nawet serce miało podjąć inną decyzję, to troska o wewnętrzny i zewnętrzny spokój jej egzystencji pozostanie na wieki jej największą troską. Nigdy nie nadejdzie taka chwila, która mogłaby zerwać więź mojej najszczerzej i najszlachetniejszej miłości do tej anielskiej istoty". Uroczy pąs prawdy zabarwił przy tych słowach poważne oblicze Brandema, a ogień jego uczuć i rosnące wzruszenie ciepło nastroiły ojcowskie serce. „Niech zatem tak będzie”, rzekł Anton serdecznie, a jego wzrok zdradzał przy tym wzruszenie, „powierzam panu moje dziecko; zechce pan jednak pamiętać, że jest ono jedynym szczęściem miłującego je ojca, ostatnią radością serca, które zostało opuszczone". Omówili jeszcze kilka innych wątpliwości, lecz rezultat ich rozmowy pozostał niezmienny: Marie miała odbyć podróż do Antonie. Usłyszawszy, co w jej sprawie zadecydowano, Marie poczuła, jak nieznany dotąd dreszcz, inny od tego, który przeniknął ją na widok Brandema, rozszedł się po jej wnętrzu. Teraz, gdy spełniało się jej najszybsze marzenie, gdy pragnąca zaspokojenia fantazja ucichła, gdyż czuła zbliżające się ukojenie, naturalne było, że wizja opuszczenia ojca i wioski stanęła jej wyraźniej przed oczyma i wzbudziła niepokój. Jej fantazję pobudziły teraz rzeczy, które dotąd lekkomyślnie ignorowała. Pewne tajemne, romantyczne miejsce, pewna skryta, błoga chwila, pewne proste, spokojne radości zaczęły ważyć na wadze uczuć, których istnienia nawet nie przeczuwała. O niebezpieczeństwach, które zagrażały spokojowi jej ducha, zranieniach, jakich mogła doznać jej miłość własna, obrażeniach, jakie mogły zranić jej serce, miała jedynie mgliste wyobrażenie i jeśli nawet pamięć o tym, czego dowiedziała się o świecie za sprawą ojca albo Antonie, spowijała jej duszę mrocznym cieniem

przeczcucia, to zdawało jej się, że z łatwością ich uniknie lub sprosta im, zachowując zimną krew.

Nastał poranek odjazdu. Anton nie mówił wiele do swego umiłowanego dziecka, lecz waga jego słów swą skromną wzniosłością na wieki wyryła w jej duszy obraz żegnającego się z nią ojca. Im mniej od niej żądał, tym więcej obiecywało spełnić jej serce. Poczucie trwogi i niepokoju, którego nie mogły rozproszyć zaufanie do Brandema i podjęta raz decyzja, spowijało duszę Antona niczym mroczne obłoki, zasnuwając także duszę pogodnej dotąd Marie. Lękliwie i milcząco zaplotła ręce na szyi ojca, a następnie z ociąganiem wsiadła do powozu, który wraz z nią potoczył się powoli w dal. Lecz gdy tylko znajomy widok wioski wraz z jej mroczną, kościelną wieżą i sennymi chatami zniknął jej z oczu, a w jego miejsce ukazał się jej nowy świat, wyłoniwszy się niczym z nicości, to chmury rychło się rozpierzchnęły, na różowiejącym policzku obeschła łza, przyjemna myśl o ponownym spotkaniu rozjaśniła obraz opuszczonego ojca, zaś wizja tego, co miało nastąpić niebawem, napełniła jej serce dreszczem radosnego oczekiwania. Im dalej jechali, tym bardziej pogodna stawała się jej dusza. Był jasny, słoneczny, zimowy dzień. Całą okolicę spowijał delikatny połysk srebra, a zza wiotkiej zasłony mgieł wylaniały się drzewa i krzewy, mieniając się niczym formy z najczystszej kryształu. Marie nigdy dotąd nie widziała tak pięknego świata i nie czuła się w nim tak dobrze. Potok jasnego światła wylewał się z jej serca na okolicę i z najśłodszą ufnością, którą dają jedynie brak doświadczenia i pogoda ducha, kroczyła ku światu, który był dla niej pod każdym względem nowy. Jej towarzysz starał się na wszelkie możliwe sposoby sprawić, aby konwersacja była dla niej miła, i by czerpała z niej jak najwięcej korzyści. Zabawiał ją opowieściami o różnych osobach, które miała poznać, powodując już teraz, że zaczęły się w niej kształtować nowe poglądy i pojęcia. Marie skupiła na nim całą swoją uwagę. Widoczne, rzadko komu okazywane zaufanie, jakiego jej ojciec nabrał do Brandema, oraz sposób, w jaki się o owym młodzieńcu wyrażał, sprawiły, że już od dawna żywiła do niego głęboki szacunek i była szczerze

przekonana o jego wartości; w tym dniu zaś narodziło się w niej do niego najcudowniejsze uczucie bezgranicznej i dziecięcej ufności. Gdy z najbardziej wzruszającym brakiem skrępowania i radością, z jaką wyznaje się prawdę, opowiedziała mu o swoim nastroju, poczucie błogości zalało jego serce, a usta już sposobily się, by żarliwie wyznaczyć jej uczucia – lecz w tej samej chwili zwyciężyła wierność własnym zasadom i Brandem powstrzymał się od wyznania. Opanowawszy się na tyle, na ile to było możliwe, rzekł do niej: „Najdroższa Marie, proszę traktuj mnie zawsze jako swego najwierniejszego przyjaciela! Daj mi tę rzecz najśodsza: obietnicę, iż twoje serce niezależnie od okoliczności zachowa wobec mnie tę cudowną otwartość, którą zatraci w kontakcie ze światem – to zaś stanie się na pewno. Obiecay mi to jedno, a będę człowiekiem najszczęśliwszym na świecie!”. W przyjacielskim geście Marie podała mu swoją dłoń, a spojrzenie, jakie na niego skierowała, było przy tym tak jasne, pewne i życzliwe, iż nabrał głębokiego przekonania, że ta dusza nigdy nie odpłaci się mu fałszem. Gdy ucałował ukochaną dłoń, z jego piersi dobyło się przepełnione żarem delikatne westchnienie szczęścia.

Było już dosyć późno, gdy przybyli do ***². Oświetlone, wysokie domy, ruch na ulicach – wszystko to wprawiało Marie w zdumienie. Skoczna muzyka tamburynu wiła się po ulicach, zatrzymując się to przed jednym, to przed drugim domem. Dźwięki wdarły się także do serca Marie. Zdało jej się nagle, że przenika wzrokiem barwną płataninę świata; wszystko, co widziała, było przy tym tak roziskrzzone, tak pociągające! Nie wiedzieć czemu, poczuła niepokój. Wkrótce dotarli do domu Antonie. Ta zaś przyjęła ich z wielką łaskawością i zaprowadziła do jasno oświetlonych pokoi-ków. Pierwsze chwile ponownego spotkania wypełniły się żartami i przyjacielskimi rozmowami.

Obraz Marie wypływałby zapewne już dawno w pamięci Antonie, gdyby jej niezatarte rysy nie stały jako żywo przed

² Zapis *** oznacza, że autorka nie wyjawia nazwiska osoby lub nazwy miejscowości.

oczami Brandema. Ten zaś miał sposobność, aby owej młodej damie, której udzielał lekcji śpiewu, oddawać ważne przyśługi. Był bowiem w posiadaniu pewnej związanej z nią bezpośrednio tajemnicy. Antonie zaś właściwie nie zauważyła jego słabości do Marie i dlatego ochoczo korzystała z okazji, aby niespostrzeżenie go do siebie przywiązać. Z drugiej strony już od dawna z utęsknieniem czekała na to, aby w jej towarzystwie pojawiła się pokorna istota, którą potrafiłaby wprawić w dobry humor i której mogłaby dać odczuć własną wartość szczególnie w tych chwilach, gdy jej własny nastrój psuły stracone nadzieje i zraniona miłość własna – była przy tym pewna, że to wszystko otrzyma ze strony Marie. Dlatego też powitanie Marie musiało być tak czułe, jak tylko wymagały tego owe względy. Marie ledwie chwilę zdołała wypocząć, gdy Antonie zaproponowała jej, aby jeszcze tego samego wieczoru udały się na bal przebierańców. Zbyt wiele przyjemności obiecywała sobie po wrażeniu, jakie ta iskrząca, nieprzewidywalna zabawa musiała wyrzucić na Marie, aby mogła przesunąć ją na inny dzień. Z uprzejmą natarczywością nakłoniła skonsternowaną Marie, aby ta wybrała sobie jeden z jej strojów; ta zaś w swym wyborze kierowała się skromnością. Długi, czarny welon zakrył częściowo jej jasne pukle, pod nim zaś błyszczało jej jasne, przyjazne oblicze, niczym księżyc w pełni wyłaniający się zza ciemnych chmur. Prosta suknia w tym samym kolorze opływała jej smukłą kibić, marszcząc się delikatnie, podkreślając jej nieskazitelną, subtelną urodę. Była bardzo powabna, lecz nie rzucała się w oczy. Jej ciemne oczy i policzki płonęły z wyczekiwania i nieznannej tęsknoty. To wszystko zdawało jej się snem, lecz był on tak słodki, iż zapragnęła, aby nigdy, przenigdy się nie skończył! Także Antonie wybrała tym razem skromny kostium, gdyż pragnęła pozostać nierozpoznana. Założyły więc maski i ruszyły na bal. Brandem, który z żalem wyznał im, że nie może dzisiaj udać się wraz z nimi, wkrótce za nimi podążył, przebrawszy się uprzednio w strój, który zmienił go nie do poznania.

Jakież dziwne, nieopisane uczucie mieszanina ogarnęło tę młodą istotę, gdy weszła do sali pełnej ludzi! Niczym

na motylich skrzydłach jej fantazja rozpoczęła lot wokół barwnej chmary ludzi oddającej się najcudaczniejszym zabawom; niezdolna odróżnić ułudy od prawdy przypisała jej znaczenie, które można złożyć jedynie na karb braku doświadczenia. Obserwowała innych, lecz jej samej nie przyszło na myśl, że i ona mogłaby być obserwowana. Zresztą jej strój był zbyt skromny, aby mogła zwrócić na siebie uwagę pośród tak wielu błyszczących i czarownych postaci. Jej próżność pozostała uśpiona, lecz z tym większą siłą miało obudzić się jej uczucie.

Przez kilka godzin Antonie ramię w ramię z Marie przemierzała salę, gdy jej początkowo zabawne incognito zaczęło ją powoli serdecznie nudzić. Zdradziła więc swoją tożsamość kilku znajomym osobom, a gdy nabrała ochoty, aby zatańczyć w korowodzie, poleciła Marie opiece młodego mężczyzny, który właśnie stanął obok. Wyszepawszy mu do ucha jeszcze kilka słów, przedstawiła go Marie jako Seeberga, po czym opuściła obydwójce tak szybko, jak to miała w zwyczaju, gdy tylko folgowała swoim pomysłom. Młody mężczyzna wypełniał swoje zadanie w przystępny i przyjemny sposób. Usiadł wraz z Marie w narożniku sali, skąd bez skrępowania i bez przeszkód obserwowali barwną, tętniącą życiem ludzką ciżbę. Z łatwością udało mu się nawiązać z Marie swobodną, ożywioną rozmowę i złagodzić jej nieznaczące zmieszanie, jakie towarzyszyło jej na początku rozmowy. Umiejętnie stwarzał jej okazję do wyrażenia błyskotliwej myśli i celnego sądu. Czyniła to z typową dla siebie, uroczą naiwnością oraz z ową najmiłszą dla ucha nieśmiałością, jaka towarzyszy umysłowi mało obytemu, lecz posiadającemu naturalną lotność. Seeberg przysłuchiwał się jej pozbawionym sztuczności, błogo brzmiącym słowom, a ogarniające go przy tym uczucie podobne było do owego subtelnego wzruszenia, jakim napętnia nas czytana po raz pierwszy za młodu idylla Gessnera³. Przepojona młodością, radością i muzyką uroczą postać Marie coraz bardziej

³ Salomon Gessner (1730–1788) był szwajcarskim malarzem i pisarzem, najsłynniejszym osiemnastowiecznym autorem idylli.

przystrajała się w jego oczach w cichy wieniec chwały, przybierając się w te wszystkie chlubne wdzięki, które zespolone w jedno stanowiły o ideale jego wymarzonego kobiecego powabu. Tak wiele, tak głębokiej serdeczności uczuć, tak wiele młodzieńczej, żywej fantazji, tak wiele bystrości w parze z dziecięcą ufnością, jaka wydobywała się z tych jakże powabnych ust, te niesamowicie piękne, mądre oczy, i ani śladu arogancji – jakże owo zjawisko mogłoby go nie porazić i nie pociągać? Również dla Marie chwile te były przepelnione rozkoszą, jakiej dotąd nie było jej dane poczuć. Szarmancki i ułożony ton jej towarzysza, jego piękna, pociągająca powierzchowność, romantyczny czar, w jaki spowijał swoje – prawdziwe czy też nie – uczucia wzbudziły w jej sercu nieznanne dotąd, nieskończenie słodkie wzruszenie, które wkrótce widocznie zawiądnęło całą jej istotą; lecz Marie nie myślała o tym, czy powinna je ukryć, czy może lepiej ujawnić. Rozmowa o pewnych ciekawych sprawach niespodziewanie zeszała na miłość. W tej samej chwili Marie poczuła niepokój. „Miłość”, rzekła z nieśmiałością, lecz nieskończenie rozkosznie spojrzaniem, „zaiste nie wiem, dlaczego ogarnia mnie lęk, gdy to słowo pada z pana ust”. Seeberg, który wyczuł przymilny ton jej wypowiedzi, delikatnie ucałował jej dłoń, Marie zaś, przejęta i upojona nową sytuacją, pożądaniem i mocą rodzącego się uczucia, uczyniła w tej upojonej chwili to, co podyktowało jej serce i, gdy jej młody i pociągający admirator na powrót się wyprostował, złożyła na jego ustach lekki i eteryczny pocałunek. Seeberg spojrział na nią ze zdziwieniem, a jego obycie w świecie sprawiło, że na kilka chwil do jego serca wkraść się zwątpienie. Lecz niewinność, jaką odkrył w jej oczach, słodkie zmieszanie z powodu tego, co uczyniła, a czego nie potrafiła żałować, cała jej istota, z której biło przekonanie o braku planu – wszystko to rozwiało jego wątpliwości i zalało serce zachwytem. Wczesne marzenia młodości, jego najśłodsze i najbardziej ekscytujące wizje wróciły do niego na skrzydłach fantazji. „Czyż to możliwe?”, wykrzyknął z rozpromienionym spojrzeniem i nieopisanym żarem, „czyż właśnie teraz miłość prowadzi ku mnie ideał,

którego z nieukojoną tęsknotą pożądało me serce?”. Marie nigdy wcześniej nie usłyszała niczego bardziej słodsze- go; nieznane jej dotąd, rozkoszne wzruszenie wycisnęło z jej oczu delikatne łzy; w duchu zaś zdziwiła się, że płacze nad czymś, co napełniało ją przecież nieustającym zachwytem. Oboje przez kilka chwil czuli cudowne, niedające się opisać słowami porywy rodzące się, wzajemnego oczarowania, gdy nagle stanęła przed nimi Antonie, by, niedbale przeprasząc za długą nieobecność, ściągnąć ich z powrotem na ziemię. Zwracając się poufale do młodego mężczyzny, podziękowała mu za jego troskliwość, Marie zaś poprosiła, aby wraz z nią natychmiast wróciła do domu, gdyż jest ogromnie zmęczona. Tak też uczyniły; Antonie była ziry- towana i w złym nastroju, a podczas jazdy drzemała. Gdy tylko wysiadły w powozu, poszła do swojego pokoju.

Zostawszy sama Marie pograżyła się w słodkich marze- niach, jakie zsyła na człowieka pierwsza miłość i przebu- dzone serce, nie zastanawiając się więcej nad swoim stanem, z którym tworzyła jedność. Obudziła się, mając przed oczyma obraz ukochanego – nie pragnęła żadnego innego szczęścia i nie żywiła żadnego innego życzenia, jak tylko ponownie go zobaczyć. Nie mogła jednak uczynić nic, by je spełnić, więc wkrótce jej uwagę przykuły inne rzeczy. W podziw przyglądała się wijącym się ulicom; im bardziej jednak bawił ją nowy dla niej spektakl miejskiego życia, tym bardziej tęskniła za dobrze jej znanym, czystym, zimowym powietrzem, które tutaj dusiło się w gęstych oparach. Gdy w końcu zmęczona taką rozrywką poczęła skracać sobie czas śpiewem i grą, drzwi do jej pokoju otworzyły się i anielskie zjawisko z wczoraj, czarujące w swojej młodości, weszło do środka, prowadząc pod rękę Antonie. Jakaż była jednak jej konfuzja, gdy Antonie radosnym i żartobliwym tonem przedstawiła jej jegomością von Seeberga jako swego przyszłego małżonka! Marie rzuciła Seebergowi niespokojne, pytające spojrzenie, gdy ten zbliżył się do niej z przyjemną dla oczu lekkością, wyrażając radość z jej poznania. Jego spokojna reakcja przywróciła jej dużą część własnej swo- body, lecz mimo to w piersi wciąż tkwiło coś dla niej nie-

pojętego, co zdawało się wskazywać na zachwianą harmonię jej wewnętrznego i zewnętrznego życia. Jej najgorętszym pragnieniem było teraz móc porozmawiać o tym z Brandem; z wielką niecierpliwością wypatrywała zatem godziny, o której obiecał przyjść. Gdy pojawił się o ustalonym czasie, Marie została z nim sam na sam, a cała jej dusza otwarła się przed nim w poufnej rozmowie. Z najdrobniejszymi szczegółami opowiedziała mu o wszystkim, co działo się w jej duszy od wczorajszego dnia, o wszystkim, o czym słyszała, co widziała i co robiła. Brandem, który w swoim przebraniu nie opuścił jej ani na chwilę i nie spuszczał z niej oka, był przyjemnie poruszony tym pierwszym dowodem jej bezgranicznego zaufania, nawet jeśli było ono dla niego bolesne z innego względu. Nie mógł się mylić co do natury jej uczuć; ale ponieważ znał świat, to ufał – wiedział to bowiem z własnego doświadczenia – iż tak nagłe, chwilowe oczarowanie wkrótce znajdzie swój kres; był też na tyle silny duchem, aby wielkodusznie pozwolić jej na owo pierwsze, nieskrępowane uczucie i, w imię jej szczęścia, poświęcić, przynajmniej na ten czas, własny spokój. Poprzestał więc na tym, aby poczynić kilka zgodnych z prawdą uwag na temat charakteru Seeberga. Potwierdził więc, że jest on z Antonie prawie zaręczony, że obie rodziny zgodziły się na małżeństwo, które było po ich myśli, pozostawiając Marie decyzję, jak powinna wobec tego się zachować. Seeberg był młodym człowiekiem o wspaniałym wykształceniu, a jego postać łączyła w sobie przystępną, ujmującą powierzchowność z uczuciową nadwrażliwością, wiedzą o pewnych rzeczach i wysublimowanym smakiem. Różne przeżycia, jakich doświadczył w ostatnich latach, nadały jego wyobrażeniom o miłości, szczęściu i życiu romantycznego posmaku, zaś jego późniejsze doświadczenia oraz wielki świat, w którym bywał, często tworzyły wobec nich dziwny kontrast. Był jeszcze w tym wieku, gdy spełnienie pewnych słodkich marzeń młodości nie wydaje się niemożliwe; nabrawszy raz przekonania, że każda rzecz ma znaczenie, nierzadko przenosił swoją egzaltowaną wrażliwość na przepięknie chłodem kręgi społeczeństwa, wskutek czego pewne nic

nieznaczące sprawy nabierały nadzwyczajnego znaczenia. Nie był szczęśliwy. Rozdarty między marzeniem a rzeczywistością często snuł plany, aby zakosztować życia w sposób nadzwyczajny, lecz potem pozwalał zdominować się drobiazgom i znów żył po staremu. Marzył o tym, aby uczynić decydujący krok, obawiając się zarazem poruszenia, jakie mógłby tym wywołać wśród swoich znajomych. I tak, uwikłany w relacje, które decydowały o jego losie, rzucił się w wir życia, nie znajdując w nim upodobania, i żył nieustanną, pustą swawolą, przepełniony palącą tęsknotą za pełną uczuć, interesującą rozrywką. Wieczny niewolnik obcego zdania i własnego uczucia chwycił się każdego rojenia fantazji, w nadziei, że odnajdzie w nim szczęście i wolność. To właśnie ów niespokojny, nieokreślony rys jego usposobienia, połączony ze wspianymi talentami, wykształceniem i czarującą powierzchownością pociągał swym nieodpartym urokiem wrażliwe i szczerze serca.

Piękno i talenty Antonie były tym, na co Seeberg najpierw zwrócił uwagę, a owo pozytywne wrażenie dopełniła jej delikatność, zdająca się nie być delikatnością, z jaką potrafiła schlebiać jego ukochanym ideom. Antonie była jedynym dzieckiem rodziny bardziej wytwornej niżli bogatej i zarazem owej rodziny największą nadzieją. Była jednym z tych eleganckich, kobiecych typów, które wciąż tylko gonią za lekkimi, przyjemnymi doznaniem, ukrywając skrajny egoizm pod płaszczkiem nadobnej i miłej powierzchowności. Ponieważ, jak było to powszechnie w zwyczaju, powzięła plan, że będzie szczęśliwa, to jej wybór padł na Seeberga, który uchodził za jedną z najlepszych partii i sprawiał wrażenie łatwego do omotania. Wszystko poszło zgodnie z planem; jej rodzina była zachwycona, zaś krewni Seeberga wierzyli, że posiadanie tak znakomitej małżonki da mu wieczne szczęście. Lecz jak bardzo między tym dwojgiem brakowało harmonii! I jeno przez chwilę ów brak mogły ukryć spryt, młodzieńcza bez troska i wspólny pociąg do przyjemności! Oboje kochali spontaniczne radości życia, lecz podczas gdy Seeberg przypisywał wszystkiemu uczucie i znaczenie, to Antonie

właśnie je starała się zepchnąć na drugi plan. Podczas gdy Antonie torowała sobie wygodną i pewną drogę przez życie, pełną słonecznego blasku, pozbawioną zagłębień i pagórków, które mogłyby jej przeszkodzić w niezmałym oddawaniu się rozkoszy zmysłów, na której brzegach stali ludzie spoglądający na nią z podziwem i obsypujący ją kwiatami, Seeberg ukochał ścieżkę romantyczną, z której co rusz to rozpościerał się widok na widniejące w dali ideały, pełną cichych, tajemnych miejsc, zajmowanych na zmianę przez cień i światło, ścieżkę poruszającą i chwytającą za duszę. I podczas gdy nawet jego błędy nabierały niezwykłego, romantycznego posmaku, to błędy Antoni były dokładnie tego rodzaju, iż były owego smaku największą obrazą.

Rodzaj znajomości, jaka połączyła go z Marie, do głębi poruszył Seeberga, zaś pierwsze, romantyczne wrażenie, jakie na nim zrobiła, nie straciło nic na swej sile; w przyjaznym świetle dnia, obleczona w lekki poranny strój, wydała mu się jeszcze bardziej pociągająca. Lecz umiejętność kontrolowania wybuchu uczuć, sprawdzająca się w większości przypadków, jaką pozyskał w kontaktach z ludźmi, rychło pomogła mu odnaleźć się w nowej sytuacji i przybrać w rozmowie z Marie lekki i niewymuszony ton. Ów pamiętny wieczór nie był już wspomniany, mającąc gdzieś niczym słodki, dziwny sen. Seeberg dowiedział się od Antonie, jak wygląda życie Marie, że będzie mógł bez przeszkód co dzień ją widywać, każdego dnia przebywać w jej towarzystwie, zaś bliskość tej podniecającej perspektywy przepłoszyła na dłuższy czas myśli o skutkach, jakie mogła mieć dla niego i dla Marie ich bliższa znajomość. Cudowna natura jego ukochanej, jej cicha, niezaprzeczalna wielkość, napełniły go szacunkiem pomieszany z oczarowaniem, zaś jej świeże i niesłabnące wycucie tego wszystkiego, co w życiu radosne, sprawiało, że z każdym młodzieńczym odruchem nieodparcie się do niej przywiązywał. Każdego dnia pokazywał jej nowe rzeczy, zapewniał przyjemną rozrywkę i rozkoszował się największym ziemskim szczęściem, jakim jest bezgraniczne uszczęśliwianie tej, którą się kocha.

Odkąd rozmówiła się z Brandemem – rozmowa bowiem wiele ułatwia – Marie czuła się o wiele lepiej. W swoim braku skrępowania wydawało jej się, że najlepiej będzie zwrócić się właśnie bezpośrednio do Antonie, aby ją zapytać, czy wolno jej być przychylną Seebergowi. Antonie, która owe obopólne upodobanie właśnie wtedy ze szczególnych powodów uważała za właściwe, odpowiedziała jej, iż to, co czuje, to ze wszech miar uprawniona sympatia i że rozkazywanie uczuciom z pewnością nie leży w ludzkiej mocy. Marie uspokoiła się jeszcze bardziej. „Czyż mam zamknąć oczy i uczucia na boskie wrażenia, jakie roztaczają piękno i cudowność?“, myślała. „Czyż związek Antonie może na tym ucierpieć, że nie pragnę niczego więcej, jak tylko go widzieć i bezinteresownie kochać?“. Jeśli nawet mimo to nachodziły ją jeszcze jakieś wątpliwości, to rozpraszała je miłość, a ta, jak wiemy, ma swoją własną filozofię. I tak beztriosko poddała się głosowi serca, który czynił ją szczęśliwą. Wobec Seeberga zachowywała się z najgłębszą szczerością i intensywnością uczuć, owymi stałymi i przyjaznymi towarzyszami pierwszej miłości. Z cichą rozkoszą dostrzegała w swoim znakomicie wykształconym przyjacielu ową wyższą kulturę, której brak sama odczuwała aż nadto, a dzięki owej różnicy jej sposób bycia zyskał nowy blask. Marie poznawała świat właśnie w tym wieku, gdy wydaje się on nam najbardziej promienny, gdy rozłąka z nim często boleśnie napina fantazję, wzmacnia tęsknotę i mąci pogodne dni młodości. Podczas gdy inni chwyтали ledwie cień radości, oszukani tracili szczęście z tysiąca powodów, ona rozkoszowała się życiem z serdecznością, która zachwycała wszystkich wokół. Przejazdżki, spektakle, spotkania w towarzystwie – wszystko to miało dla niej cudowny, słodki powab, gdyż wszędzie towarzyszył jej ukochany i na każdym kroku rozkoszowała się każdą rzeczą za jego pośrednictwem i wraz z nim. Miłość, nowe doświadczenia, młodość i beztrioska połączyły siły, aby zmienić jej ten czas w niebo na ziemi. Harmonijne światło opływało świat przed jej oczami, każda rzecz przystajęła się w barwy miłości, a sprawy najbardziej przyziemne i nijakie zyskiwały dzięki niej tajemne, słodkie znaczenie.

Tymczasem wierny Brandem przypatrywał się temu trwającemu zauroczeniu z gorzką rezygnacją i bolesną troską, wzmagającą się z każdym dniem; lecz z drugiej strony widział też, że natura Marie, pośród tych wszystkich niebezpiecznych układów i subtelnych pokus, które zachęcały, by pójść za ich przykładem, trwała niezłomnie przy swojej wrodzonej cnocie oraz prawdzie. I nawet jeśli zazdrościł Seeborgowi, to pocieszała go myśl, iż jest jedynym zaufanym tej nieskażonej duszy. Czasami, gdy przypominał sobie obietnicę daną jej ojcu, do jego serca wkradała się groza, lecz gdy potem Marie przyjmowała go z niezmienną serdecznością i radością, gdy opisywała mu całe swoje szczęście, przeżycia i wątpliwości, na każdym kroku pozostając wierna swojej naturze, wtedy znowu nabierał nadziei i nowej wiary. A tymczasem robił wszystko, co możliwe, aby przeżyła ten czas z jak największym zyskiem. Jej talent do śpiewu i gry na instrumentach nabierał pod jego kierunkiem rzadkiej doskonałości, jej umysł z każdym dniem zyskiwał na dojrzałości; także jej inne jeszcze talenty rozwijały się pod jego opieką swobodnie i harmonijnie. Pewnego dnia musiał jednak udać się w podróż, do której skłoniły go sprawy rodzinne, a która miała trwać kilka tygodni. Myśl, że miałby zostawić Marie samą w tej sytuacji, była dla niego w rzeczy samej nie do zniesienia, lecz złożył owo uniesienie na karb zazdrości, której w żadnym razie nie zamierzał ulec. Wahał się więc przez chwilę, aż w końcu postanowił napisać do starego Antona, aby ten na jakiś czas zabrał do siebie córkę. Tymczasem mijały dni. Odpowiedź nie nadeszła, a że Brandem nie mógł już dłużej czekać, wyjechał trapiiony mrocznymi przecuciami.

Wkrótce po jego odjeździe Marie otrzymała długo wyczekiwany list. Od pewnego czasu daremnie wypatrywała wiadomości od ojca, które zawsze przyjmowała z ogromną radością i na które z równie wielką odpowiadała. List przyszedł od jej starego przyjaciela, kaznodziei. Znalazło się w nim życzenie, aby tak szybko, jak to tylko możliwe, wróciła do domu, gdyż jej ojciec jest śmiertelnie chory. Zbudziwszy się w końcu ze swego długiego i słodkiego snu, Marie po

raz pierwszy poczuła, jak blednie złoty blask spowijający jej życie. Teraźniejszość i przyszłość legły na nią ciężarem. W wielkim pośpiechu przygotowała się do podróży, z żarem i ściśniętym sercem pożegnała się z Seebergiem i Antonie, po czym w głębokim odrętwieniu opuściła miejsce, gdzie zaznała tyle radości.

Cóż to była za podróż dla Marie! W jej głowie kłębiło się mrowie dziwacznych, mrocznych rojeń i nie była w stanie zyskać jasności co do swego stanu. Im bardziej zbliżała się do wioski, tym żywiej rysował się jej przed oczami obraz ojca, który, ach! być może właśnie konał. Gdy znalazła się blisko domu, przywitała ją martwa cisza. Jesienne, wieczorne wiatry hulały z przejmującym jękiem między rosnącymi w ogrodzie bukami. Przy wejściu, milcząc z żalością, powitał ją kaznodzieja. Jego list nie udał się w drogę; Antona już nie było na tym świecie; zmęczonego życiem od kilku dni przykrywała już matczyzna ziemia. Marie wpadła w rozpacz i zupełnie się załamała. Kaznodzieja całą noc podtrzymywał ją na duchu, delikatnie pocieszał i zapewniał o swoim wsparciu, przekazując nauki i ostatnią wolę jej zmarłego ojca. Rankiem odwiedziła jego grób. Dzień był jasny, lecz niepokodny. Zimny, ostry blask oświetlał jasno i wyraźnie rzeczy w oddali, niczym światło rozumu, gdy przeminie rozkoszny czar młodości, a rzeczywistości nie pozłacają już rozkoszne szaleństwa. Ciemny las był pogrążony w czerni i żałobie. Jego koron nie wieńczył już żaden chwiejny promień, a ku górom nie wznosił się żaden słodki zapach. Zewsząd wydobywało się milczenie, jeno nad polami rozbrzmiewała chwilami samotna pieśń jesiennego ptaka. Mogiła Antona leżała w samotności, tylko kilka melancholijnych sosen rzucało na ziemię mały cień; samotny, czarny ptak wzbił się spłoszony do lotu. Serce Marie zamarło. Groza śmierci ściśnęła jej duszę. Widziała przed sobą życie swego ojca niczym rozpostarty obraz, na którego rewersie widniał narysowany czarnymi pociągnięciami pędzla grób. Jej serce skapitulowało, wyrzekło się wszystkiego. „Ach, cóż to jest, cóż to jest” – wykrzyknęła boleśnie – „że z tak bezgraniczną tęsknotą pragniemy podążyć za naszymi bliskimi na drugą stronę?”

I tak minęło kilka dni; natura odkryła, że serce Marie po raz pierwszy zamknęło się na radość, zaś melancholijna tęsknota wydłużała godziny, które niegdyś przemijały tak szybko, wypełnione młodzieńczymi tęsknotami i rojeniami fantazji. Tymczasem czas wnet odświeżył obrazy minionych dni, które tym wyraźniej stawały jej przed oczami, im bardziej różniły się od samotności i smutku obecnych. Podobnie jak oko widzące niewyraźnie i nieostro to, co blisko niego, tak i serce nie potrafi się pojąć, co z nim się dzieje, gdy jest blisko swego szczęścia. Dopiero z oddalenia słodki obraz nabiera ostrości, a magiczna woń przeszłości zatapia w idealizującym świetle przyjemne sceny, kłębiące się wokół nas w terażniejszości. Wtedy dopiero oddalenie potwierdza moc doznanych przeżyć. Niektóre z nich, zajmujące nas w terażniejszości, przemijają wraz z podmuchem oddalenia, starte niczym wilgotne farby; inne tkwią mocno w duszy, myślimy o nich bezwiednie, najdrobniejsze podobieństwo przywołuje ich żywy obraz, rankiem wstają wraz z nami i wplatają się w nasze marzenia. Teraz dopiero Marie pojęła, jak drogi jest jej Seeberg. Samotność i oddalenie zmieniły pamięć o nim w fascynację, sympatię w namiętność, a jego obraz stał się obrazem Boga.

Niegdyś jedno z najbardziej romantycznych miejsc w okolicy było właśnie tym miejscem, w którym puszczała wodze fantazji. To właśnie tam, gdzie dawno temu jej dusza, rozpościerając gwałtownie skrzydła, odważyła się skosztować sztuki muzykowania. Wspomnienie owej godziny wdarło się do jej serca ze słodką przemocą i ogarnęło ją nagle, niewyraźne jeszcze przeczucie, że właśnie owa chwila zapowiadała w sposób mroczny, lecz radosny wpływ i rolę, jaką sztuka odegra w jej życiu. Rozmyślając wciąż o swojej wizji, wpatrywała się w nurt rzeki, a nieustanna gra umykających i powracających fal przyniosła jej błogie zapomnienie; lecz nagle za nią rozległ się szelest gałęzi; gwałtownie się odwracając, ogarnięta słodkim przerażeniem rozpoznała w nadchodzącej postaci Seeberga. Jakże namiętne było ich ponowne spotkanie! Tutaj, gdzie byli w pełni wolni i nikt im nie przeszkadzał, gdzie romantyczność okolicy, nastrojowy

czar sielskości, doniosłość samotności wyostrzały i pobudzały zmysły, nie myśleli o tym, aby ukrywać swoje uczucia. Z dziecinną dokładnością opowiadali o nich ze wszystkimi szczegółami, wyznając sobie, że to właśnie jest miłość – wraz z tym jednym słowem runęły wszelkie społeczne bariery, a uswięcona konieczność zdawała się usprawiedliwiać ich uczucie.

Seeberg nie mógł znieść rozstania z Marie, zaś Antonie, która zaniedbywała go już od dłuższego czasu, gdyż jej myśli zajmował inny plan, dając mu po tysiącokrotnie bardziej wyczuwalny niż namacalny powód do narzekania, stawiała się jego sercu coraz bardziej obca, co sprawiło, że brak harmonii w ich związku stawał się mu coraz to bardziej dotkliwy. Tymczasem związek ów był już na zaawansowanym etapie, a obie rodziny, w tym cały krąg ich znajomych, sądziły, że są już zdecydowani; Seeberg zaś wierzył, iż z czasem pojawią się korzystne okoliczności, które ułatwią mu zerwanie z Antonie. Tymczasem odkrył mniej radykalny sposób, aby spełnić swoje najśrodsze marzenie i ułożyć sobie życie z Marie; dlatego właśnie pospieszył do niej, by przedstawić jej swój plan. Zaproponował jej więc, że wyjadą do jednego z jego niezamieszkanymi majątków, położonego w znacznym oddaleniu, by żyć w nim wolnością miłości i szczęściem. Marie poczuła się zaskoczona. Dziwnie poruszona nową dla niej sytuacją po raz pierwszy poczuła konieczność podjęcia przełomowej decyzji i przyjęcia jednej z ról na scenie życia, które do tej pory odgrywali inni, występując w prawdziwych lub zmyślonych spektaklach, a którym przypatrywała się z przyjemnym zainteresowaniem. Przed oczami stanęły jej pewne obrazy, które do tej pory tak łatwo ignorowała. Jakże by ją uspokoił kwadrans rozmowy z Brandemem! Lecz ten wierny przyjaciel był daleko i nie znała nawet jego miejsca pobytu. Śmierć jej ojca zerwała wszelkie więzy, które łączyły ją z ludzką wspólnotą; w swoich decyzjach nie musiała już uwzględniać osób trzecich; a któż na całym świecie mógłby być jej bliższy niż ukochany, który teraz podawał jej rękę, obiecując cudowne życie? A mimo to miała wątpliwości. Wobec jej skrupułów Seeberg począł czynić jej delikatne

wyrzuty: „Gdy w barwnej płataninie życia” – rzekł do niej – „gdy tysiące ludzi przechodzą obok siebie obojętnie, dwie spokrewnione, wrażliwe dusze, znajdują do siebie drogę, to czyż nie mają się kochać? Czyż mają poświęcić swoje szczęście, najdroższą rzecz, jaką obdarza ich natura, pustej grze pozorów, chłodnym społecznym kalkulacjom, jakimi odznaczają się ich czasy?”. Łatwo domyślić się, na którą stronę przechyliła się szala. Siła młodego, pierwszego uczucia oraz pragnienie, by czym prędzej w pełni rozkoszować się życiem, zbyt mocno sprzyjały argumentom Seeberga, aby Marie mogła długo im się opierać. Podjęła decyzję. „Niechże zatem tak będzie”, rzekła z najśłodszy wyrazem twarzy, jaki wywołać może tylko największa wewnętrzna harmonia, „być twoją ukochaną to przecież moje jedyne szczęście. Jestem, kim chcę być i to czyni mnie szczęśliwą”.

Odjechali. Marie znów była szczęśliwa. Czuli, że najpiękniejszy czas w jej życiu jeszcze nie minął. W śmiejącej się do niej formie nowego życia odnalazła wszystkie swoje wcześniejsze uczucia z młodości. Cieszyć się życiem wraz z ukochanym w wolnym świecie, w radosnym braku skrępowania, widzieć, jak najdrobniejsza nawet rzecz nabiera znaczenia, bo on jest blisko, odczuwać każdą przykrość pomniejszoną o połowę, każdą radość zaś podwójnie – czegoż więcej mogło brakować jej szczęściu?

Przybyli do małej wioski, położonej w ustronnej, mrocznej okolicy. Czekał tam na nich stary dom, w którym od dawna już nikt nie mieszkał, gdzie z radosną odwagą odkryli brak wygod, których zresztą nie potrzebowali. Od teraz barwne radości życia rzadko zapraszały Marie do tańca, a w ich miejsce wkradła się niejedna troska; lecz dla niej były to troski drogie i zdawało jej się, iż radości wyższej natury, jakie odczuwają dusze harmonijnie ze sobą zespolone, przybierają na sile. Z pasją przyzwyczajała się do cichego życia wypełnionego pracą. Czas skracała im często muzyka, zaś słodkie upojenie pierwszą miłością, niesione lekko na skrzydłach pieśni, silniej przenikało serca kochanków. Także Seeberg rozkoszował się pogodnym, spokojnym szczęściem, jakiego rzadko dotąd w życiu doświadczał. Ciche, proste

radości nowego życia kontrastowały z jego dawnymi rozrywkami z korzyścią dla tych pierwszych, a samozadowolenie z dokonania własnego wyboru, wolnego od wpływu innych, utrzymywało go w radosnym, podniosłym nastroju. Pewnego popołudnia przez bramę prowadzącą do posiadłości przejechał dobrze zbudowany, młody jeździec w towarzystwie sługi. Ciekawość, kim mógłby być ów nieznajomy, została wkrótce zaspokojona, gdyż gość prędko wbiegł po schodach i wszedł do pokoju: była to Antonie! Stała przed nimi olśniewająco zjawiskowa, zachowując swobodę i kurtuazję, by po krótkiej rozmowie wyjaśnić powód swojego przybycia: „Seeberg” – rzekła, akcentując znacząco i pewnie wypowiedziane słowa – „kochałam cię, jak nie pokocham już chyba żadnego mężczyzny. Jeśli sprawiałam wrażenie chłodnej, to czyniłam to wbrew samej sobie i tylko po to, aby pozwolić ci bez przeszkód i swobodnie rozkoszować się twoją nową miłością. Lecz słodkie słówka nadziei zwodziły mnie, iż twoje serce kiedyś do mnie wróci. Teraz wyrzekam się tej oszustki, a moim jedynym życzeniem jest, abyś był szczęśliwy, zaś mym jedynym utrapieniem, że tak długo byłam przeszkodą na drodze do twego szczęścia. Nie oskarżam cię – czyż twoją winą było, że nie potrafiłam utrzymać przy sobie twojej miłości? Jedyny powód, jaki mnie tu sprowadza, to uzgodnienie z tobą sposobu, w jaki najłatwiej będzie rozwiązać nasz związek oraz zapewnienie cię, iż ja pierwsza mogę dać ku temu sposobność, nawet przed całym światem, i uczynię to, jeśli będzie to konieczne, abyś był zadowolony”. Seeberg popadł w konfuzję. Jego zdradziecki pociąg do osobliwych rzeczy wypełnił owo oświadczenie, jakże schlebiające jego miłości własnej, tajemnym czarem, wskutek czego obraz Antonie odzyskał w jego sercu swoje dawna prawa. Nie mógł i nie chciał podjąć decyzji, zaś Antonie, która osiągnęła swój cel, opuściła go z zapewnieniem, iż będzie działała w jego interesie na własną rękę.

Seeberg był tymczasem dla Antonie jedynie środkiem, za pomocą którego mogła zaspokoić swoje ambicje i stworzyć dla siebie wygodne i przyjemne warunki do życia: będąc kochaną, móc w efekcie z wielkim spokojem znieść stratę

jego serca. Zupełnie obce były jej tajemne rozkosze i udręki wrażliwych dusz, które dążą ku czemuś wyższemu i uczą się na swoich błędach; posiadała za to ową użyteczną mądrość, co pokłada dla świata tak wyborne zasługi, i nie namyślając się wiele, z każdego wydarzenia potrafiła wyciągnąć dla siebie korzyści. Gdy spostrzegła sympatię Seeberga dla Marie, w tym samym czasie w jej kręgu pojawił się pewien młody książę, skupiający na sobie niczym wschodząca gwiazda całą uwagę otoczenia. Antonie, która w krótkim czasie znalazła w nim swojego wielbiciela, i dzięki temu dostrzegła jeszcze inną możliwość realizacji swoich zamierzeń, było to ze wszech miar na rękę; tym sposobem zyskała czas, aby w skrytości urzeczywistniać swoje plany względem młodego i żywiołowego książęcego syna, nie wyrzekając się całkowicie Seeberga. Tymczasem wraz z odjazdem księcia owa cudowna wizja odeszła w dal, zaś obraz Seeberga oraz jej dawne ideały tym wyraźniej stanęły jej przed oczami, i nawet jeśli nie miłość przywołała jego wspomnienie, to było to umiarkowane zainteresowanie jego osobą, u którego źródeł leżało raczej przyzwyczajenie niż sympatia, a które w efekcie oddalenia i piętrzących się przeszkód zyskało na sile. Sprytnie przejrzała charakter Seeberga; dopasowała do niego swój występ, zaś jego sukces udowodnił, iż wybornie znała się na ludziach.

Od owego dnia szczęście obydwu kochanków nie było już takie jak dawniej. Porażający czar romantyzmu zacierał się coraz bardziej w duszy Seeberga, który z zachmurzonym czołem patrzył na to, jak mu się wydawało, jak jego wysnione szczęście pospolicieje, przeistaczając się w spokojne rozkoszowanie się zwyczajnym życiem. Jego uczucia, których nie podtrzymywały i wzmacniały zasady, straciły ostatecznie blask w obliczu przyjemniejszych wizji. Seeberg czuł też, że nie do końca rozstał się z kręgami, które opuścił, a ich opinie i sądy wciąż miały na niego duży wpływ. Wiele jeszcze myśli kłębiło się chaotycznie w jego wnętrzu i zdawało się niemożliwe rozstrzygnięcie, czy struny jego duszy, wydające przecież tak wiele precudnych dźwięków, rozbrzmiały anielską harmonią czy też raczej przeraźliwym

falszem. Kultura i fantazja, uczucie i mądrość kształtowały na zmianę jego charakter i wiele jeszcze spraw w jego wnętrzu wymagało uporządkowania, musiał jeszcze pewnych rzeczy doświadczyć, ocenić, które ważą więcej i nauczyć się je od siebie oddzielać, nim dane mu było zyskać spokojny, pewny sposób bycia człowieka harmonijnego i pogodzonego z samym sobą.

Marie nie umknęło, jak bardzo po owej wizycie jej przyjaciel był poruszony. Wprawdzie odnosił się do niej z całą tą delikatnością, na jaką potrafił się zdobyć – wciąż mówił jej, jak go uszczęśliwia, lecz mówił to często i gładko, zaczęła więc w to wątpić. Jakże wiele zmieniło się od tego czasu, gdy głupio życzyła sobie chwilami, aby jej powiedział, że ją kocha, podczas gdy sam jeszcze nie wiedział, czy kocha ją bardzo. Przeminięły owe wzruszające porywy serca, w które nie ingerował kalkulujący rozum. Teraz, w pewnych ponurych chwilach spędzanych samotnie, w jej sercu odżywała pamięć o dawnym życiu, a melancholijne wspomnienia nasycaly ciepłymi barwami sceny z upływającej spokojnie młodości. Teraz zdawała się pojmować owo mroczne przecucie, które tak często ją ogarniało, gdy podczas samotnych spacerów przejęta niepokojem spoglądała w milczeniu w błękitną, niknącą dal. Lecz nawet teraz, gdy przygniatał ją największy możliwy ciężar – chłód ze strony ukochanego – jej pogodny, energiczny duch nie tracił wigoru i nawet wspominając owe sielankowe i spokojne dni, jakże pociągająco się prezentujące w welonie przeszłości, ostatnim jej uczuciem było wewnętrzne zadowolenie, że nie pozostała na wieki w tym stanie beczynności. Postanowiła sobie, że z chłodną rozważą będzie obserwować swego przyjaciela baczniej niż zwykle i uczyni wszystko, co w swojej mocy, aby podźwignąć go z nieszczęścia, gdy tylko pozna jego źródło. Na nowo zaczęła radować się tym, że może ćwiczyć swego ducha w scenach z prawdziwego życia, na nowo postanowiła, że los, który sobie wybrała, będzie znosić ze swobodnym opanowaniem.

Nie trwało długo, gdy zyskała upragnioną jasność. Moment otwartości i braku uwagi z jego strony pozwolił

spojrzeć jej głęboko w duszę Seeberga i nie zwlekać z podjęciem decyzji. „Czyż to za ledwie to? Ledwie to?“, dopytywała samą siebie z niejaką boleścią. Jej duszę zalała fala uczuć: zdziwienia, niechęci, dumy i słodkich fantazji, lecz fala owa szybko opadła, a wielkie napięcie, w którym się znajdowała, ułatwiło jej realizację planu. Niechaj za moją sprawą będzie na nowo szczęśliwy, myślała. Podążyłam za nim, gdyż go pokochałam, a ponieważ go kocham, to go opuszczę. Krótka nieobecność Seeberga ułatwiła jej wykonanie planu.

Nie robiąc wiele zamieszania i nie żądając wiele, zatroszczyła się o swoje najpilniejsze potrzeby, ze skrupulatną dokładnością wydała służbie niezbędne polecenia i nie bez niepokoju, lecz także nie bez ufności we własne siły, opuściła dom Seeberga, nie wtajemniczając w swój plan żadnej osoby. Na pożegnanie napisała list. „Nie myśl” – pisała w nim – „że kocham Cię mniej i dlatego Cię opuszczam. Wiem, że byłoby to dla Ciebie bolesne, gdybyś stracił to miejsce w moim sercu i nawet jeśli Twoje zewnętrzne życie nic beze mnie nie straci, to przecież Twoje życie wewnętrzne straciłoby na tym bardzo, bardzo wiele, gdybym opuściła je na dobre. Nie, mój przyjacielu, cokolwiek mnie czeka, wspomnienie naszej miłości będzie do mnie powracało, niosąc się po rozproszonych scenach mego życia niczym echo pieśni skowronka podczas burzy. Tobie zawdzięczam to, że przebudziłam się do płomiennej gry uczuć, Tobie zawdzięczam moje najpiękniejsze chwile. Będę Cię zawsze mile wspominać, zaś mroczny cień pewnych słabości, samych w sobie uroczych, spowijający Twoje walory, nie przysłoni mi Ciebie. Lecz teraz, w chwili rozstania, zaklinam Cię, abyś wyrzekł się szaleństwa, które słuźalczo każe słuchać Ci obcego zdania i nauczył się bardziej ufać sobie. Czyż Twoje czułe serce, Twój wykształcony umysł, Twoje wysublimowane wycucie piękna, objawiającego się w sztuce i w przyrodzie, nie dają Ci więcej przywilejów niż tym wszystkim mało znaczącym ludziom, których sąd tak wiele dla Ciebie znaczy? Z radością opuściłeś niegdyś ów migotliwy świat, który nieraz nazywałeś pustym i marnym, ze względu na mnie, czy też raczej ze względu na Twoją

miłość. Tej miłości już nie ma, a ja wciąż jestem tą samą, jaką byłam, lecz Ciebie opuściła Twoja wiarołomna fantazja. Przywołaj ów nastrój. Ach, nawet jeśli pękły struny naszej miłości w Twym sercu, to przecież na świecie jest jeszcze dosyć dźwięków, przy których Twoje uczucie rozplynie się w zachwycającej harmonii! Och, poszukaj ich, Seebergu! Znów mnie pokochasz, wiem to! Z oddali moja osoba utraci to wszystko, co doskwierało Ci w terażniejszości, a gdy już zniknie z rzeczywistości, iluzja przywróci Ci to w słodszej formie. Nasze myśli będą spotykać się radośniej, niż nasze spojrzenia. Znów mnie pokochasz – a wtedy spełnią się moje marzenia!”

Przeczytawszy list, który otrzymał po powrocie z krótkiej podróży, Seeberg poczuł się do głębi wstrząśnięty. Subtelna wyrozumiałość, z jaką Marie informowała go o rozstaniu, życzliwość, jaką tchnął list, wyczucie, z jakim pomijała Antonie – dobrze wiedział, że nie umknęło jej uwadze, jaki wpływ na jego chwiejny charakter miała jej postać – wszystko to kazało mu odczuć jej utratę po tysiakkroć mocniej. Próby odkrycia miejsca pobytu Marie nie powiodły się i groźba, że całkowicie zniknie z jego życia, była bardzo realna. Jakże pusty był mu teraz jego dom, ogród i jego otoczenie! Jakże zimne, puste i martwe jego własne serce! Brakowało mu ponad wszystko jej głębokiego zaangażowania i z czasem pojął, że przyzwyczajenie to silniejsza więź niż pragnienie odmiany oraz że w życiu rzadko bywa tak, że serce może żywić nadzieję na spełnienie swoich pragnień.

Większość rzeczy, których pragniemy, wydarza się, lecz nie w tym czasie, gdy tego chcemy. Co jeszcze przed rokiem uczyniłoby młodego fantastę tak bardzo szczęśliwym, czego wówczas życzył sobie tak gorąco – list Antonie, w którym donosiła mu, iż udało jej się zyskać zrozumienie i pełną zgodę obu rodzin na zakończenie ich związku oraz że cieszy ją niewymownie, iż nie musi już być przeszkodą na drodze do jego szczęścia – jawiło się teraz i było dla niego – w każdym względzie! – druzgocące! Sytuacja Antonie uległa w ostatnim czasie zmianie. Z przyjemnością przyjmowała wizyty nowego adoratora, do którego przy-

ciągała ją sympatia, korzyść własna i ambicja, i to o wiele silniej niż do Seeberga, wprowadzając w czyn faktycznie to, czego wpierw stworzyła pozory. Seeberg niebawem dowiedział się od kilku dawnych przyjaciół, jak rzeczy mają się naprawdę i porównał wysublimowanie Antonie z ową naturalnie delikatną wrażliwością pewnej pięknej duszy. Jego tęsknota za Marie wróciła, dręcząc go jeszcze bardziej; jego pragnienia kierowały się często ku przeszłości, by z żalnością wspominać owe słodkie chwile, które spędzał w odosobnieniu razem z Marie. Zarazem jednak mocniej i głośniej odezwały się w nim inne pragnienia, leżące w jego lepszej naturze. Chęć bycia użytecznym, formowania swego szlachetniejszego „ja”, przemówiła wyraźniej, ponaglając go nieodparcie, by zapłacił rzeczywistości swój trybut. Bardziej skupił się na własnym wnętrzu i starał się zapanować nad doznaniem, które do tej pory tak długo panowały nad nim. Podróżował, obserwował, kształcił wycucie smaku i sztuki, zawiązywał więzy i zrywał je, a pamięć o Marie słała w nim niepostrzeżenie. Często jednak podziwiał, im dłużej był w świecie, jej przenikliwość, za pomocą której, przy tak nikłym doświadczeniu, jakby natchniona przez siłę wyższą, często wydawała trafne sądy o tak wielu życiowych sprawach lub celnie przewidywała ich dalszy bieg. Wiele rzeczy stało się teraz dla niego jasnych i wiele, bardzo wiele spraw straciło swój błyszczący powab, którym mieniły się z daleka. Oszustwa pozorów wyraźniej stanęły mu przed oczami; opinia ludzi, to zmienne, dziwaczne coś, stała się mu obojętniejsza, zaś jego własne fantazje miały mu jedynie służyć po to, aby upiększać teraźniejszość na wszelkie możliwe sposoby. Wybrał w końcu jako swoje stałe miejsce zamieszkania pewien majątek ziemski, położony niedaleko niewielkiego miasta i tutaj właśnie starał się, nie zważając na rangę i tytuły, z całych sił pomagać ludziom.

Tymczasem dla Marie los był łaskawy. Gdy na zawsze opuściła wioskę i Seeberga, natychmiast powiązała swoje plany z pewnym miastem, które, jak wiedziała, było godne polecenia ze względu na wyśmienicie urządzonej teatr. Bez dalszych przeszkód, trapiąca wprawdzie pewnymi smutnymi

wspomnieniami, lecz z drugiej strony rozweselona kojącą świadomością siebie, przybyła właśnie w to miejsce, a jej pierwszym zmartwieniem było zdobycie angażu w teatrze. Plan ten się powiódł: jej wielki śpiewaczy talent przyniósł jej wkrótce ogólną aprobatę, jej aktorskie umiejętności także niebawem cudownie się rozwinęły i wkrótce wiodła życie niezależne i stabilne. Jako istota wolna, żyjąca życiem, które zawdzięczała samej sobie, czuła się, jeśli nawet nie szczęśliwsza, to spokojniejsza, i to bardziej niż dotąd.

Prawie każdy człowiek w młodości wyobraża sobie, jakie życie chciałby wieść. Jeśli obdarzy go nim przyjazny los, to nawet jeszcze wtedy nachodzą go chwile pragnienia i chwile zwątpienia, lecz skryte zadowolenie świadczy przecież zawsze o tym, że jego największe marzenie się spełniło. Właśnie w takim stanie znajdowała się Marie. Prosty bieg jej wcześniejszego życia dał jej czas do namysłu nad sobą i związania swoich marzeń z czymś konkretnym. Kontakt ze światem oświecił, a nie oślepił jej naturalnie rzutkiego umysłu, jej fantazja była pobudzona, lecz nie otumaniona, jej uczucie było wysmakowane, lecz nie wybrakowane. W samotności, jaka odtąd jej towarzyszyła, nauczyła się dojrzałej myśleć o wielu rzeczach, wiele spraw porównywać, wobec wielu zachowywać niezależność, zyskując rzadki jak na swój wiek poziom aktywności i praktycznej mądrości. Była teraz zupełnie taka, jaką być pragnęła. Życie było jej miłym i przyjaznym darem, którym pragnęła się rozkoszować nade wszystko słowem i czynem, bez których przecież wszystkie zamierzenia pozostają bezowocne na wieki, a wszelka moc myśli zanika. Wspomnienie miłości Seeberga niczym słodki sen nawiedzało wprawdzie jeszcze jej duszę, lecz żywiej do jej serca wracał obraz wiernego Brandema. Dopiero teraz poczuła z całą pewnością, co dla niej uczynił, jak bardzo zatroszczył się o jej szczęście, a pragnienie, aby dowiedzieć się czegoś o jego losach, odzywało się w niej z każdym dniem coraz silniej i wyraźniej.

Ach, jak wiele wycierpiała od tego czasu ta szlachetna, skromna, lecz jakże silnie odczuwająca dusza! Sprawy rodzinne, jego szczerą troska o rodzinę, na dłużej niż przy-

puszczał, oddzieliły go od Marie, wymuszając jego obecność w wielu miejscach. Ledwie po powrocie dowiedział się o wyjeździe Marie i śmierci jej ojca, dręczony złymi przecuciami wnet udał się w podróż do jej rodzinnej wioski. Lecz to, co czuł, gdy nie zastał już Marie, a od miejscowego kaznodziei dowiedział się jedynie tyle, że młody i wytworny pan odjechał z nią wkrótce tuż po śmierci ojca, prawdopodobnie do szlacheckiej damy z miasta, nie dało się opisać. Dobrze wiedząc, że tam jej nie było oraz dowiedziawszy się o nieobecności Seeberga, Brandem pojął wszystko i nagle poczuł, że jego nadzieje obracają się wniwecz. Ogarnęła go złość, zjadliwy ból i gniew na samego siebie. „Ach, jakież ze mnie głupiec, kompletny głupiec!” – wykrzyknął – „przypisywałem sobie wszechwiedzę, będąc jednocześnie jakże krótkowzrocznym! Dlaczego od razu nie wyznałem jej mojej miłości? Dlaczego działałem podług planu, w skrytości wobec tej, która była tak otwarta? Spokój tej pięknej duszy zapewne na zawsze już jest stracony, a ja, czyż dotrzymałem obietnicy danej czułemu ojcu, który odszedł z tego świata, być może przejęty niepokojem i żalem?” Zadręczał się tak wyrzutami i oskarżał o to, co było jeno sprawą sukcesu, który nigdy nie leży w naszej mocy. Jego naturalna skłonność do melancholii pogłębiła się, nienawidził ludzi, nie zaprzestając czynić im dobro, wreszcie ze słodko-gorzkiem uczuciem zamieszkał w małym gospodarstwie, gdzie po raz pierwszy spotkał Marie. Wiódł tutaj samotnicze i posępne życie, zaś nocami mieszkańcy sąsiednich wiosek nie raz słyszeli, wstrząsani skrytą grozą, żalostną muzykę rozbrzmiewającą na grobie Antona. Po jakimś czasie duch Brandema, wzmocniony samotnością, podniósł się niepostrzeżenie, wspierając się na czystych zasadach, do których doszedł samodzielnie. Na powrót swobodnie spoglądał na życie, stwierdzając, że zbyt wiele odczuwał, a zbyt mało działał. Czuł wewnętrzny przymus czynu, zaś składająca się zaledwie z kilku domów wioska, której zadowoleni mieszkańcy w obliczu nowych wiadomości i nowej rozrywki utraciliby zapewne jedynie swoją szczęśliwą obojętność, już mu nie wystarczała. Postanowił więc przede wszystkim odkryć miejsce pobytu

Marie. Myśl o tej niezepsutej, czystej duszy pokrzepiła go na nowo, zaś owe złociste dni, które przeżył, rozkoszując się jej nieograniczonym zaufaniem, przebiły niczym snop światła mrok jego życia, zatapiając w swym radosnym blasku wszystko wokół: przeszłość, terażniejszość i przyszłość. Był teraz daleki od tego, by z powodu kilku smutnych dni, które przychodzą w życiu tak czy siak, przegapić te radosne i żałować tego, co niegdyś czyniło go tak szczęśliwym. Jego relacja z Marie, w której był jej przyjacielem, nie mogła przecież uciepieć wskutek zmian zewnętrznych okoliczności, a być może, że teraz był jej bardziej potrzebny niż kiedykolwiek. Na nowo wracając do życia i nabierając nadziei, wyjechał do Antonie, aby od niej dowiedzieć się, w miarę możliwości, czegoś więcej o losie Marie; lecz Antonie była nieobecna i nikt nie mógł mu udzielić wystarczających informacji. Miasto, w którym mieszkał do tej pory, wskutek różnorodnych konstelacji stało mu się wstrętne; z radością więc podążył za możliwością, która otworzyła się przed nim na dworze księcia sąsiedniego kraju – otrzymał bowiem stamtąd powołanie – i wkrótce wyjechał. Wieczorem w dniu jego przybycia dawano spektakl, a gdy usłyszał, że będzie wystawiana *Burza*, pospieszył czym prędzej do teatru. Gdy na scenie pojawiła się Miranda, jego serce zamarło. Jej brak doświadczenia, słodkie rozterki pierwszej miłości – wszystko to wróciło do niego, porwało go z rozkoszną siłą. W gwałtownym zachwycie przeżywał raz jeszcze owe cudowne godziny, gdy przypatrywał się, słuchał, obserwował Marie w jej anielskiej niewinności. To nie artystka, która czyniła zadość rozumowi swoją rozważną, wspaniałą grą i roznieciła ogień jego uczuć, lecz ów żywy, zachwycający wytwór boskiej wyobraźni, Miranda we własnej osobie. Stopniowo zaczęła znikać także ona, a jej miejsce zajęła Marie. Z każdą chwilą stawała mu żywiej przed oczyma, z każdym ruchem była bardziej nią – i była nią naprawdę! W jakże rozkosznym upojeniu czekał na koniec sztuki! Magia sztuki i zaskoczenie spotkaniem wyniosły jego uczucia na wyżyny romantyczności. Gdy tylko spektakl się skończył, Brandem pospieszył do dziewczyny. Marie, dowiedziawszy

się już wcześniej o jego przybyciu, przyjęła go z najśłodszą szczerością i dziecięcym zachwytem. Jego szlachetna, prawa i szczerą naturą, to rzadkie i piękne zjawisko, stawała się jej tym bardziej droższa, im dłużej bywała w świecie; Marie czuła się z nim związana najczulszymi więzami szacunku i zaufania. Cóż to za rozkosz, cóż za przyjemność dla serca, móc z największą otwartością przedstawić mu wiernie te wszystkie sceny, które rozegrały się od ich rozstania, drobniawo i bez skrępowania opisać mu wszystkie odczucia, dzielić z nim nowe wrażenia i doświadczenia oraz wspólnie je udoskonalać!

Mieszkali odtąd w jednym miejscu. Brandem baczniej przypatrywał się Marie, której duch był już w pełni rozbudzony i z subtelną samodzielnością podążał za jej świetlanymi wizjami. Widział, jak we wszelkich życiowych okolicznościach zachowywała jasny, czysty, otwarty umysł, jak z delikatną stanowczością trwała przy pewnych zasadach, jak jej uczucie do niego wciąż było takie samo, a jego aprobata ważyła więcej w jej sercu niż poklask błyszczącego towarzystwa, do którego przyciągały innych jej młodość i serdeczność. Łagodny, harmonijny duch delikatną pieśczęcią wydobywał z ich dusz najśłodsze akordy, a trwała więź szacunku, zaufania i przyjaźni umacniała niebiańskie współbrzmienie.

Tłumaczyła *Nina Nowara-Matusik*